
DANUTA SIWIEC

WOŁYŃSKA LEKCJA HISTORII I TOLERANCJI

Nad ranem zjawili się w tysiącach polskich domów. Załomotali kolbami. Dali kilka minut na spakowanie dobytku i popędzili na Wschód. Daleko na Wschód. Aż na Syberię i do Kazachstanu. Tam zgotowano im piekło na ziemi. Cierpieli głód, zimno i poniżenie godności ludzkiej. Największą krzywdę uczyniono dzieciom, które były pozbawione wszystkiego, nawet matki, która zostawiła je na cały dzień głodne, a sama szła w syberyjską tajgę, czy też kazachstańskie stepy, wykonywać nikomu niepotrzebne prace. A dzieci zmarznięte i głodne (zmarło ich bardzo wiele), bez chleba i mleka czekały jej powrotu, czasami na próżno, bo często współtowarzysze niedoli uginając się pod ciężarem nieśli martwe ciało. Pamiętajmy też o tych bezimiennych zmarłych na wielostopniowym mrozie podczas transportu w bydłowych wagonach, wyrzucanych jak kawał drewna i o zmarłych na nieludzkiej ziemi z głodu i zimna. Ludzie ci nie mają grobów, dlatego też powinniśmy pamiętać o nich w modlitwie, bo jak mówi nasz wieszcz Adam Mickiewicz: „Jeśli zapomnę o nich Ty Boże zapomnij o mnie”. Zesłańcy w drodze na syberyjską katorgę ułożyli balladę, oto pierwsze jej słowa: „10 luty będziem pamiętali, przyszli sowieci myśmy jeszcze spali”. I my też pamiętajmy, bo to nasz moralny nakaz. Ksiądz prałat Zdzisław Peszkowski, kapelan Rodzin Katyńskich i Pomordowanych na Wschodzie prosił:

Niech 10 lutego w każdym polskim domu zapłonie wieczorem światełko na znak, że jesteśmy, pamiętamy i czuwamy. Przenieśmy się myślą na Jasną Górę i zabierzmy wszystkich naszych bliskich doświadczonych Golgotą Wschodu, na Apel Jasnogórski przywołajmy tych, którzy pozostali na zawsze na Dalekim Wschodzie. Ogarnijmy ich modlitwą. Przynieśmy Matce Bożej nasze przebaczenie, które jednak nie oznacza zapomnienia i tchórzliwego milczenia.

Nie będziemy głusi na ten Apel. Ta opowieść jest o tych, którzy ocaleli. Często dzięki tym, którzy być może na rękach mieli krew naszych Rodaków. Bo życie na Kresach proste nie było.

Zacząło się 17 września 1939 r.

Na Wołyń wkroczyli najpierw czołgiści, za nimi kawaleria, a na końcu przysła piechota. Czerwonarmiści byli bardzo biednie odziani, bardzo zmęczeni i uginający się pod ciężarem plecaka. Polacy nie okazywali najeźdźcom współczucia, nikt nie podał im nawet kubka wody, bo zaszczyt witania okupantów przypadł w udziale uradowanym Ukraińcom i Żydom.

Podhajce, w których mieszkaliśmy to wieś ukraińska, w której żyło kilkanaście polskich rodzin. Obok wsi był ukraiński chutor. Były tu lepianki

z gliny, kryte słomą i na niebiesko malowane (kute chaty). Jednym z mieszkańców był Wasyl, człowiek bardzo wesoły, dowcipny, bez którego nie obyły się żadne wesela, chrzciny, chętnie przez polskich sąsiadów zapraszany, zasiadał przy każdej okazji za biesiadnymi stołami w ich domach. Po wkroczeniu Rosjan różnie względem Polaków zachowywali się nasi sąsiedzi – Ukraińcy. Jedni nadal przyjaźnie, a inni, tak jak Wasyl, zmienili wobec nas swoje zapatrywania.

Dobrzy i źli

Należy też wspomnieć, że i wśród tych, którzy wtargnęli na nasz Wołyń, byli różni ludzie, podobnie jak i wśród naszych sąsiadów – Ukraińców. Dobrzy i źli, okrutni i spieszący Polakom z pomocą. Dziadzio wspominał o takim odbiegającym od wschodniej normy Rosjaninie. Pewnego wrześniowego dnia do wsi przyjechał młody, rosyjski oficer. Cały chutor (mieszkańcy) wyległ na jego spotkanie. Prowodyrem (przywódcą) był Wasyl, a zmiana „frontu” względem Polaków dziwiła nawet jego sąsiadów z chutoru. Wasyl uświadamiał chłopów, jak mają narzekać na Lachów (pogardliwa nazwa Polaków). Gdy któryś z sąsiadów odezwał się, że to nieprawda, usłyszał: „Nie ma prawdy jest sprawiedliwość”.

Podjechał gazik. Wyszedł kapitan, o stopień oparł nogę i zapytał, jak się tu ludziom żyło? Oczywiście z odpowiedzią pospieszył usłużny prowodyr: „Chodźliśmy głodni, bosy, niedziani. Lachi nas hnytyły (Lachy nas uciskali). Jisty nie dawały (Jeść nie dawali)”. Młody kapitan lekko uśmiechając się, lustrował wzrokiem tak bardzo „uciskanych”, dobrze wyglądających i elegancko ubranych chłopów, którzy na spotkanie z takim gościem ubrali się odświętnie, co umknęło uwadze zacierzewanego Wasyla. Oficer patrząc na tłum odezwał się:

Och, biedni ludzie, rosyjskiemu oficerowi poskarżyć się przyszli. Tak, tak widzę macie buty giemzowe (giemza – bardzo dobry i drogi rodzaj skóry), jesteście ładnie ubrani i dobrze wyglądacie, gdy tak na was patrzę i skarg kłamliwych słucham, przyznaję, żeście biedni, ale tylko ... sercem i duchem.

Nikt nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, a szczególnie Wasyl, który z tą sprawą łączył jakieś nadzieje na „poprawę swojej doli”. Po takiej riposcie kapitana, który jego narzekania puścił mimo uszu, opuścił Wasyl głowę i odszedł bez słowa, a z nim chutor cały.

A jak się zachował, gdy wrócił do domu? Już od progu krzyczał, aby żona zdejmowała ze ścian ikony (prawosławne obrazy święte). Na jej protest odpowiedział: „Nie szczekaj, teraz przyszły czasy inne, nareszcie swoboda, będzie tu republika nowa”. Powtórzywszy żonie swój nakaz, sam popędził na cmentarz i wyjął z mogiły ojca krzyż. Gdy w 1941 r. wkroczyli na Wołyń Niemcy, to czerwcową nocą znowu postawił krzyż na ojcowskim grobie.

Przyznać należy, że i Wasyl miał rację twierdząc, że prawda ze sprawiedliwością nie miały nic wspólnego.

Na skraju lasu, wśród pięknej przyrody stał ładny murowany domek. Mieszkał w nim drwał z żoną i gromadką dzieci. Gospodarz był bardzo pracowity i zaradny. Jego dom ukryty w leśnej gęstwinie był bardzo zadbane, a wewnątrz czysty i schludny, z pomalowaną na czerwono podłogą. A jak zachowali się Rosjanie, gdy przekroczyli próg domu? „Goście” oniemieli ze zdumienia, a oficer odezwał się: „Kakaja krasiwaja miebiel (jakie ładne meble). Na oknach

firany, o, podłoga malowana. Nie widzę zapiecka, nie śpicie na słomie”. Splunął, tfu! Dodał: „O, wy burżuje, nic was nie uratuje i na białeje niedwiedzi wam pora” („czas wam na Sybir”).



*

Bronisława, Danusia
i Antoni Bała

Pierwsze deportacje na Sybir rozpoczęły się 10 lutego 1940 roku. Mieszkający obok domu drwala sąsiad był świadkiem, jak to w mroźną, lutową noc, żołnierze NKWD upychali na furmankę gromadkę głośno płaczących dzieci i przerażonego drwala z żoną. Jak to wytłumaczyć? Za co? Dlaczego? Jakim prawem skazano i wywieziono wówczas na syberyjską katorgę szereg niewinnych ludzi, zarówno Polaków, jak i Ukraińców, a wszystkich „Bogu ducha winnych ludzi”. Podzielił ich los kuzyn mojej mamy Stanisław Grabowski (prawdopodobnie z Kostopola) winawat? (winny?) Da! (Tak!), bo był wójtem. Wójt – zrozumiałe – burżuj, niech w tajdze pomarznie, to mu się po kułacku myśleć odechce. Nauczyciel? Też można wytłumaczyć, bo to inteligent, to ekskrement, jak uważali siepacze Berii, a przed zasiedleniem Wołyńskiej Ziemi nowymi grażdankami (obywatelami) należało ją oczyścić z wszelkich „nieczystości”. Listonosz? Też winowat! Bo z „listową kulturą” ma do czynienia, ale co im zawinił kowal Sobieski, który podkuwał konie, kuł lemiesz, nie był bogaczem, a swoją mozolną pracą służył okolicznym gospodarzom? Albo ciężko pracujący robotnik leśny? A jak kwalifikowano na „darmową wycieczkę”.

To autentyczne zdarzenie przybrało taką formę. W miejscowej szkole urządzili sowieci punkt „rekrutacji” na syberyjską katorgę. Ustawionych w kolejce mieszkańców wsi zapisywano na listę.

Pewnego młodego chłopaka (nieznającego rosyjskiego) siedzący za stołem zapytał: „Kak twoja familja?” Zagadnięty zrozumiał, że chodzi o rodzinę, więc odpowiedział: „Dobrze się ma: ja, brat, tato...” Rosjanin krzyknął: „Ja pytam nazwiska i wsio”. Słyszac podawane nazwiska: Kowalski, Piotrowski, Jankowska swoim zwyczajem splunął. Tfu! I rzekł: „Wot swołocz polska (Ot dranie polscy). Niech wiedzą sąsiedzi, że jedziecie na białej miedwie, tam będziecie dla Sajuzu pracować, żeby darmo w Polsce życia nie marnować”. Nikt nie był pewny, kiedy nocną porą załomocą kolbami w drzwi i wrzasną: „Skariej, skariej” (szybciej) i wywożą w nieznaną.

Bali się też o swoje rodziny i policjanci

A było to na Polesiu, też we wrześniu 39 roku. Wyruszył z Pińska autobus z rodzinami policjantów. Jechaliśmy przez kraj Poleszuków, pracowitego ludu przyzwyczajonego do ciężkiej pracy, żyjącego spokojnie i skromnie. Utrzymywali się oni z rybołówstwa i hodowli bydła.

Jechaliśmy poleskimi bezdrożami. W autobusie żony, dorosłe dzieci i matki policjantów i tylko jedna matka z dzieckiem – to byłam ja. Mój płacz do tego stopnia denerwował panie, że nawet zgodne były wyrzucić „bachora”, ale gdy szczęśliwie uniknęliśmy nieszczęścia (upadku w przepaść) całkowicie odmieniły swoje zapatrywania. Krążyłam z rąk do rąk, a kiedy oddano mnie mamie miałam zawieszonych kilkanaście łańcuszków z krzyżykami i medalikami. Jechaliśmy, a tu i głód już zaczął doskwierać. Panie ratując życie i bogactwo w walizkach zapomniały o ... zapasach żywności. W pewnej chwili milczący do tej pory kierowca wykrzyknął przerażonym głosem: „Napadną na nas chłopci z widłami”.

Moja mama opowiadała jaki lament podniósł się w autobusie, ale rzeczywistość było się czego bać. Na drodze stali Poleszucy uzbrojeni w różne rolnicze narzędzia, którymi nam wygrazali. Do stojącego autobusu weszło dwóch obdartusów. Jeden z nich wyciągnął rękę w kierunku półki z walizkami, ale nagle ją cofnął, bo oto zza fotela wysunęła się mała rączyna i usłyszano: „Jestem taka głodna”. Ukraińcy stali jak wryci: „O! Dytyna” (O! dziecko”). Podeszli do gromady, od której oderwało się kilku chłopów i gdzieś poszli. Przerazenie pasażerów nie zmalało. Po jakimś czasie do autobusu weszła większa liczba Poleszuków – przynieśli nam jedzenie. Któryś z nich podał mamie owinięty białym płótnem kawał słoniny ze słowami: „To dla dytyny” i dodał: „Jedźcie dalej paniusie spokojnie a dla małej dytyny szczęścia w życiu życzymy” (szczerze to były słowa, bo spełniały się w moim życiu). Poleszucy wyszli z autobusu, a gromada na drodze rozstała się na boki. Przerazenie ustąpiło miejsca niedowierzaniu, że jesteśmy żywi i wolni. Nawet kierowca siedział jak sparaliżowany. W pewnej chwili mężczyzna wstał i zwrócił się do pań: „Miłe panie, ci ludzie darowali nam życie a mogli nas zabić. Może by panie tym biednym ludziom coś ofiarowały?” Drugi raz nie trzeba było powtarzać. paniusie zdejmowały z półek walizki i coś z nich wyjmowały. Kierowca wyszedł z autobusu i jednego z Poleszuków poprosił o czapkę. Okazało się, że do jednej czapki nie zmieściły się wszystkie dary, poprosił o drugą. I tak to litościwi Poleszucy otrzymali dwie czapki wyrobów ze złota, a moja mama zo-

stawiła mi tylko jeden złoty łańcuszek z aniołkiem. Autobus ruszył. Poleszucy po obu stronach drogi kłaniali się nam do samej ziemi. Do celu dojechaliśmy szczęśliwie, a moja mama ze mną przeniosła się do swoich rodziców do Podhajec.

Mój Tata polski policjant też miał szczęście. Poleszucy odnosili się do stróża prawa z szacunkiem. Zaskarbił sobie uznanie tym, że szanował ludzi i nigdy nie zapomniał, że jest człowiekiem w służbie człowieka. Chłopi ukryli tatę na jednej z wyseppek, których pełno było wśród rozlewisk wodnych. Taką wysepkę zwaną oczeretem, a porastały ją szuwary, trzcina, tatarak. Nocą dobrzy ludzie dowozili mu czólnem pożywienie, ale gdy chłód rozpoczął swoje królowanie, polski policjant serdecznie podziękowawszy swoim wybawcom przeniósł się na Wołyń w pobliże domu moich dziadków. Ukrywał się wszędzie: w lesie, u wujka leśniczego, w zabudowaniach a nawet w domu.

To co przedstawię teraz jest po prostu nie do uwierzenia a jednak zdarzyło się naprawdę, można to kojarzyć z cudem. Pewnego razu w listopadową noc Tata wychodząc z lasu spotkał na swojej drodze nieznanego Rosjanina, którego zaprosił do domu dziadków. Okazało się, że jest to wysokiej rangi enkawudzista. I ten oto człowiek, pochodzący z Petersburga, będący podpułkownikiem, bardzo Tacie pomógł. Dzięki prostym ludziom, ukraińskim Poleszucum i przedstawicielowi najeźdźców, mój Tata uniknął Katynia, a nasza kułacko-policyjna rodzina, chyba też dzięki Aleksandrowi, nie została wywieziona na Sybir.

Wśród autobusowych uciekinierów była też siostra mojej mamy – Kazimiera, z dwojgiem dzieci. Przyjechała do nas do Pińska ze swoją rodziną 13 września. Jej mąż, wysokiej rangi policjant z Poznania, dostał służbowe przeniesienie do Zdołbunowa. Jeszcze tego samego dnia wujek wyjechał i wszelki śluch po nim zaginął. Przez jakiś czas ciocia z dziećmi mieszkała z nami w Podhajcach, a potem wróciła do Poznania. Do końca życia (zmarła w 1979) nie poznała prawdy o mężu. Jej syn Norbert, z zawodu lekarz, będąc po 2000 roku na katyńskich uroczystościach znalazł wśród zamordowanych nazwisko swojego ojca.

Nie znajduję logicznego wytłumaczenia na to, że może wśród Poleszuców, którzy „paniusiom” darowali życie, a polskiego policjanta uchronili przed Katyniem, znajdowali się przyszli kaci Polaków, zamieszkujących Polesie w latach okupacji. Mój Tata przeżył 71 lat, zmarł w 1978 roku. Po moim wspaniałym Tacie pozostały policyjne zdjęcia, okrążyły znaczek służbowy nr 801 z napisem na odwrocie „Policja Państwowa”.

Pozostała też jego maksyma życiowa „Nie ważna jest narodowość, rasa, religia, ale najważniejsze to być człowiekiem i widzieć go w bliźnim”.